ROCZNIK III. Dnia 17. lutego 1912. ZESZYT VII.



ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY i LITERACKI

RES.

Słówko o klerykaliźmie i walce z klerykalizmem w Królestwie polskiem.

Przyznać trzeba, że klerykalizm polski w zaborze rosyjskim ma dyabelne szczęście: w przededniu sprawy Macocha i innych świętobliwych zakonników, w chwili takiej kompromitacyi, jakiej kler od niepamiętnych czasów nie doświadczył, wobec niewymownej ohydy, ujawnionej tak jaskrawo, że najzawziętszy „mason" nic podobnego by sobie nie wyobraził — w takiej chwili i w takich warunkach duchowieństwo otrzymuje niespodziewany sukurs ze strony rządu carskiego. Mówimy tu o ciężkiej karze, którą sąd rosyjski wymierzył biskupowi Ruszkiewiczowi za rozwiązanie małżeństwa „maryawickiego" w pewnym wypadku przez sąd duchowny katolicki. Sprawa ta powstała z donosu księdza maryawickiego, władze carskie uchwyciły się tej sposobności, ażeby przeciwku duchowieństwu katolickiemu „energicznie" wystąpić. Była tu jawna, lada pozorem maskująca się tendencya, potępiający i karzący wyrok z góry był przygotowany. Sprawa nie ujawniła nic nielegalnego w postępowaniu sądu duchownego. Ale, władzom carskim nie chodziło o prawo, lecz o sposobność „poskromienia" duchowieństwa katolickiego. I jako jedno z najcięższych przestępstw sądu duchownego, prokurator carski wskazywał — posługiwanie się językiem polskim...

Tego rodzaju „poskramianie" duchowieństwa katolickiego przez rząd rosyjski stanowi prawowitą cząstkę jego polityki nacyonalistycznej i prawosławno-klerykalnej. Ale jest to zarazem ciężka krzywda, wyrządzana sprawie postępu w kraju naszym, jest to system gwałtu i bezprawia, który przyczynia klerykalizmowi katolickiemu aureoli, rozbudza fanatyzm, osłabia krytycyzm, ciemne, szkodliwe, reakcyjne siły społeczne uzbraja jakgdyby w puklerz sympatyi, należnej ofiarom bezmyślnego prześladowania ze strony najezdników.

Nic nie mogło być pożądańszego dla kleru katolickiego, jak w czasach „Macochiady" doświadczyć polityczno-narodowego prześladowania ze strony rządu carskiego. Żadnemi sofizmatami, wykrętami i zaklęciami niepodobna osłabić tego wrażenia, które przeraźliwy odmęt zbrodni częstochowskich budzi we wszystkich duszach. Niczem nie podobna by odeprzeć ciosu, który „Macochiada" zadaje klerykalizmowi polskiemu. Ale wobec polityki rządu moskiewskiego, który w imię prawosławia gnębi katolicyzm, który sroży się przeciwko ducho-

wieństwu katolickiemu, wiernopoddańczemu, ugodowemu, lolajnemu aż do obrzydliwości duchowieństwu, tylko dlatego, że jest siłą odrębną, mającą wpływ w społeczeństwie polskiem, wobec takiej polityki kler nasz ma wygodną pozycyę, jest w znacznej mierze zabezpieczony od szkód i strat, które niechybnie musiałaby mu przynieść ewolucya myśli i stosunków społecznych.

Myliłby się, ktoby sądził, że w Królestwie klerykalizm jest słabszy, niż w Galicyi. Zapewne, siła jego nie jest tak wyraźna, nie ujawnia się tak wypukle, jak w Galicyi, gdzie cieszy się opieką władz, mnóstwem przywilejów i w klerykaliźmie ogólnoaustryackim ma doskonałą, idealną podporę. Ale w Królestwie klerykalizm rozporządza niemniejszą siłą, tylko, że ona w znacznej mierze pozostaje w stanie utajonym, potencyonalnym. A żywotności klerykalizmowi w Królestwie przyczynia to właśnie, że rządy najezdnicze pozbawiają nas wolności rozwoju, że my żadną swoją sprawą, żadną dziedziną życia sami zarządzać nie możemy, że wszędzie i zawsze, we wszystkich procesach naszego życia społecznego doświadczamy, jak one paczą się, gmatwają, zaogniają, cherleją pod wpływem najezdniczej gospodarki. Nie tylko nie żyjemy pełnią życia, ale i wtedy, gdy idziemy naprzód, idziemy spętani, wikłając się ciągle w sieciach, bezsilnie przypatrując się, jak wrogie ręce tworzą dla nas tryby i normy życia, wiecznie powstrzymywani okrzykiem brutalnym: stój, kudy priosz?!

Gdybyśmy mieli wolność ruchów, możność przystosowywania norm prawno-politycznych do naszych potrzeb społecznych, słowem, udzielność narodową, to „Macochiada“ byłaby potężną podnietą do walki o oddzielenie kościoła od państwa. „Macochiada“ zadałaby nie tylko moralny cios klerykalizmowi, służyła by nie tylko za oręż agitacyi „wolnomyślnej“, ale mogłaby być punktem wyjścia dla przetworzenia stosunków w tej dziedzinie, punktem wyjścia dla akcyi, zmierzającej do wcielenia postępu społecznego w formę ustaw i instytucyi. A dziś co? Dziś musimy poprzestawać na stwierdzeniu, że klerykalizm skompromitował się okrutnie, a jednocześnie przypatrywać się, jak obca, wroga siła prześladowaniem katolicyzmu kompromitacyę klerykalizmu osłabia, urok mu przywraca...

W takich warunkach walka z klerykalizmem, walka o wolną myśl, konieczna, pożądana i cenna, wymaga jednak zmysłu politycznego, dokładnej oryentacyi politycznej, zachowania należytej miary i perspektywy w ocenie szkodliwości różnych czynników naszego życia publicznego.

Niestety, „wolnomyślność“ warszawska zazwyczaj pod tym względem zawodzi. „Wolnomyślność“ ta zrodziła się z „pracy organicznej“ i odznacza się pierworodnym grzechem macierzy swojej: brakiem oryentacyi politycznej, traktowaniem zjawisk naszego życia społecznego w sposób abstrakcyjny, bez uwzględniania roli i wpływów najazdu, nieporadnością w rozplątywaniu zawiłych węzłów naszego życia narodowego.

O tem wypadnie może napisać obszerniej. Tymczasem kilka uwag i przykładów wystarczy. Pamiętamy, jak to, w początkach sprawy chełmskiej, Świętochowski i Niemojewski uskarżali się na duchowieństwo katolickie, że to ono swoją gorliwością w przysparzaniu dusz kościołowi katolickiemu wywołało irytacyę nacyonalistów rosyjskich... Dotychczas jeszcze czarnosecińcy rosyjscy, powołują się na ten „argument“. Mniejsza jednak o użytek, jaki wróg czyni z „wolnomyślności“ naiwnej literatów warszawskich; czarnosecinne kanalie mają apetyty, a o argumenty takie lub owakie wcale im nie chodzi. Ale gorszem jest, że Świętochowski i Niemojewski, folgując „wolnomyślności“, powiedzieli rzecz zgoła bezmyślną. Bo jakże, czyż duchowieństwo katolickie nie miało korzystać z „ukazu tolerancyjnego“, czyż miało z góry zgodzić się z tem, że „ukaz tolerancyjny“ winien być martwą literą, której ożywić nie wolno, gdyż duchowieństwo prawosławne rozzłości się? Czyż sarkanie na duchowieństwo katolickie za jego gorliwość w korzystaniu z „ukazu tolerancyjnego“ jest liberalizmem, czy też raczej strachem „wolnomyślnego“ niewolnika? A następnie, czyż Świętochowski i Niemojewski nie wiedzą, że w przetrwaniu „oporu“ unickiego duchowieństwo bardzo mało ma zasługi, że to lud sam wytrwał i że to był poryw żywiołowy, wspaniały objaw w y z w o l e n i a, gdy lud chełmski z radosnem uczuciem zrzucał z siebie w r. 1904 i 1906 brzemię „kazionnej“ religii? Ale „wolnomyślność“ warszawska tego nie rozumie, jak w r. 1875, sławiąc dobrodziejstwa „postępu“, nie rozumiała cierpień unitów.

Albo inny przykład: Klerykalizm jest wrogiem, przeto „Myśl niepodległa“ wysnuwa z tego wniosek, że Wielopolski miał słuszność, mówiąc opryskliwie do duchowieństwa: „nie zniosę rządu w rządzie“, poczem „wolnomyślna“ historyozofia już „wie“, kto obalił „wielkiego męża“ i wywołał powstanie. Niewybredna to historyozofia i dziecinny to morał: w sporze między ugodowym Wielopolskim a patryotycznem duchowieństwem oczywiście Wielopolski miał słuszność, bo duchowieństwo nie może mieć słuszności...

A co warta taka bezmyślna „wolnomyślność“, jak ta, którą uprawia „Prawda“, przeciwstawiając Polskę, odwieczną „W a n d e ę środkowej Europy“, postępowym, „heretyckim“ Czechom? Dosłowne zestawienie: Polska-Wandea! Czy wolnomyślny literat z „Prawdy“ rozumie, co pisze, czy też raczej płytka i tania frazeologia burżuazyjnego librepenseur'a i warszawskiego „organicznika“, nie odebrała mu wszelkiej zdolności rozumowania w sprawach społeczno-politycznych?

I tak to się plecie w warszawskim świecie: klerykalizm, żerujący w mrokach naszego życia społecznego, rząd moskiewski, prześladujący katolicyzm, naiwna „wolnomyślność“ liberalnej bezpolitykowości...

J. KRZESŁAWSKI.

ŻYCIE POLITYCZNE MŁODZIEŻY.

III.

Ruch o charakterze filareckim, który w ostatnich czasach zasila bardzo organizacye zagraniczne, dostarczając im materyału ludzkiego, już wdrożonego do pracy społecznej, jest stosunkowo bardzo niedawnej daty. I tu, podobnie jak wśród młodzieży akademickiej, istniały od dawna dwa typy organizacyi: „Sekcya Koronna organizacyi Młodzieży Narodowej“ i „Związek młodzieży postępowej“. Potrzeba trzeciej organizacyi, typu filareckiego, długo nie dawała się odczuwać, raz dlatego, że zbyt szybkie zróżniczkowanie polityczne młodzieży szkolnej mijało się z zadaniem organizacyi, które w pierwszym rzędzie samokształcenie miały na oku, a następnie dlatego, że oba odłamy młodzieży, zgrupowanej w „Związku“, bez względu na swój stosunek do idei niepodległości, złączone były wspólnym poglądem na sprawę bojkotu. Łatwo było niektórym partyom politycznym ogłosić bankructwo zasady bojkotu; trudniej znacznie przekonać o tem podległą swoim wpływom młodzież, która swego czasu sama bojkot przeprowadziła, uważała go za sprawę swoją, sprawę bardzo drogą i nie mogła jakoś uwierzyć w to, aby wyrzeczenie się szkolnictwa rosyjskiego i wyjazd zagranicę były objawem tchórzostwa i dezercyi, a pozostanie w uniwersytecie warszawskim czynem doniosłym i wielce heroicznym. To też odezwa endecka z wiosną zeszłego roku, propagująca owe prawdy w tonie brutalno-karczemnym, wywołała konsternacyę wśród młodzieży, której wypadło z obowiązku ją rozpowszechniać. Wstydzono się jej i odżegnywano od wszelkiego z nią solidaryzowania się. Umożliwiało to wspólną pracę w Związku, jednocześnie wykazując, że hasło zerwania bojkotu chyba tylko zagranicą, wśród ludzi, oderwanych od kontaktu z pracą w kraju, na powodzenie liczyć może.

„Związek“ więc pozostał jednolity i dążność do rozbicia go nawet w tym czasie, kiedy nadeszła wiadomość o rozłamie na zjeździe genewskim, nie zaznaczała się tak silnie. Istnieje on i po dziś dzień, ale istnieje tylko formalnie, jakby dla symbolicznego zaznaczenia, że są sprawy, które mogą wspólnie jednoczyć całą młodzież postępową. Inne przyczyny, a w szczególności chęć silnego podkreślania w pracy samokształceniowej spraw, związanych z kwestyą niepodległości Polski, wywołały już w końcu 1909 i w początkach 1910 roku powstawanie grup niepodległościowo-postępowych.

Młodzieży niepodległościowo-postępowej w pierwszych latach po rewolucyi ze świecą by szukać. Przyczyny tego są jasne. Ludzie, którzy w rewolucyjnej epoce zwalczali doszczętnie kurs niepodległościowy, szukali oparcia wśród młodzieży, często nawet szkolnej. Z nich to często rekrutowali się efemeryczni agitatorzy, którzy, przedtem nieznani, zjawiali się na chwilę, aby spełnić swą rolę i po ogólnym krachu utonąć w niepamięci piasku. Wśród młodzieży szkolnej w tych warunkach nie brakło chętnych do walki z zasadą niepodległości w programie, a pogląd, że wszelaki patryotym jest wstecznictwem, uchodził za dogmat. Tradycye myśli „lewicowej“ wśród młodzieży przetrwały rewolucyę i długo obowiązywały. Jeszcze w początkach 1909 roku jednostki, przyznające, że niepodległość Polski jest ideałem, do którego dążyć i o który walczyć trzeba, były rzadkimi unikatami. Od tej chwili jednak datuje się zwrot; powstają w całym kraju, przeważnie samorzutnie, nic nie wiedząc o sobie wzajem, nowe grupy, używające różnych nazw: „promienistych“, filaretów“, „niepodległościowo-postępowych“, „niepodległościowo-socyalistycznych“ i t. d. Grupy te powstają zrazu na prowincyi Królestwa, potem na Litwie, wreszcie opanowują Warszawę, uchodzącą za twierdzę lewicowych wpływów wśród młodzieży i łączą się ze sobą, dla wspólnej i jednolitej akcyi.

Połączenie wspomnianych grup nastąpiło w lecie 1910 roku, na 1-szym zjeździe „Związku młodzieży postępowo-niepodległościowej“ szkół średnich zaboru rosyjskiego“. Na zjeździe tym, pomimo nadania nowemu Związkowi form ściśle organizacyjnych, postanowiono z dawnym postępowym Związkiem nie zrywać, gdyż nie było do tego palącej potrzeby, a zresztą sprawozdania na zjeździe wykazały, że prawie cały ów Związek w krótkim czasie przeszedł w ręce niepodległościowców, którzy obsadzili między innemi wszystkie miejsca w zarządzie. Ponieważ mniejszość, tracąca swe wpływy i topniejąca z dniem każdym, pragnęła również posiadać własną organizacyę, wolną od wszelkich myśli o niepodległość, założono więc „Związek młodzieży socyalistycznej“, nie występując zresztą ze „Związku młodzieży postępowej“. A zatem, poza nacyonalistyczną „Sekcyą koronną“, istnieją 3 organizacye, z których „Związek postępowy“ obejmuje młodzież obu typów przekonaniowych. Rzecz prosta, że każdy z odłamów myśleć musiał przedewszystkiem o pracy we własnej organizacyi, a Związek postępowy stał się fikcyą i już od dawna znaków życia nie daje. Jako instytucya nieszkodliwa, nie wywołuje zresztą ze strony młodzieży głośnych protestów.

Z pozostałych dwuch organizacyi Związek młodzieży socyalistycznej przyciąga do siebie zaledwie drobną garstkę młodzieży. Tak szybko zniknęła polityczna moda. Wybujał natomiast ogromnie Związek młodzieży postępowo-niepodległościowej, którego rozszerzanie się przeszło wszystkie oczekiwania. Głównemi ogniskami ruchu są: Warszawa, Litwa i Ukraina. Jeżeli nie będziemy brać w rachubę Ukrainy, która dotąd formalnie w skład Związku nie wchodzi, choć wysyła swych delegatów na zjazdy ogólne, to w każdym razie liczba członków Związku dochodzi do pokaźnej liczby 500. Jeżeli zważymy na straszne warunki, wśród których młodzież prowadzi swą syzyfową pracę, to osiągnięcie tej liczby uważać musimy za rezultat bardzo dodatni i świadczący o żywotności haseł filareckich.

A warunki pracy są niewesołe. Bo chociaż rząd rosyjski ma poważniejszych i niebezpieczniejszych wrogów od uczniów szkół średnich, to jednak z chwilą, gdy szeregi rewolucyonistów się przerzedziły, a ochrana i żandarmerya mają więcej czasu,

młodzież szkolna na brak opieki ze strony władz narzekać nie może. Dowodem tego ciągłe areszty, które najczęściej dotykają uczniów zbiorowo, zazwyczaj dwa razy do roku, na wiosnę i na jesień, skąd biorą nazwę „wiosennej" i „jesiennej branki". Jeszcze parę lat temu kończyło się to zwykle na niczem, gdyż rząd lekceważył zarodki ruchu młodzieży i zdarzało się, że prokurator twierdził, iż z młodzieżą szkolną walczyć nie warto, a żandarm, prowadzący śledztwo, podzielał jego zdanie. Rzadko kiedy wytaczano proces młodzieży, nawet w razie znalezienia kompromitujących ją dokumentów; w najgorszym razie sąd skazywał na 1—1½ miesiąca aresztu. Teraz rząd nie patrzy już na robotę młodzieży przez palce. Skałłon często każe sobie raportować, jak stoi sprawa bojkotu, a ochrana zapuszcza swoje macki, korzystając z braku doświadczenia i niekonspiracyjności młodzieży szkół średnich. Już ta okoliczność, że młodzież występuje z hasłami niepodległościowemi, kwalifikuje ją ostrzej w obliczu sądów, niż wtedy, gdy zarzucano jej mglistą a niewinną postępowość. Były już nawet usiłowania ze strony ochrany pociągania młodzież pod słynny § 102, grożący katorgą, a gdy spełzły one na niczem, zastosowano § 125, grożący karą od kilku miesięcy do kilku lat więzienia. Wszystkie te represye nie wpływają bynajmniej na zmniejszenie liczby zorganizowanej młodzieży. Choć aresztowania zabierają co chwila najczynniejszych kierowników, choć wszelkie przejazdy uczniów z Warszawy na prowincyę i naodwrót prawie zawsze naprowadzają policyę na tropy, organizacye żyją, rozwijają się, wydają swoje pisma i zwykle już w tydzień po masowych aresztowaniach prowadzą pracę normalną. Rzecz prosta, że trudne warunki, wśród których pracować wypada, hartują wolę, wyrabiają charakter i przyczyniają się w znacznej mierze do stworzenia ludzi czynu.

Poza pracą samokształceniową i wydawniczą, młodzież ma do spełnienia jedno ważne zadanie: walkę ze szkołą rosyjską. Dla bojkotu starsze pokolenie zobojętniało zupełnie; natomiast młodzież po dawnemu toczy walkę tę z zapałem i dąży do jej zaostrzenia. Często wystarcza stosowanie bojkotu towarzyskiego, zmuszając podległą bojkotowaniu jednostkę do opuszczenia szkoły rosyjskiej. Nie jest to fikcyą i przykładów takich, niekiedy niezmiernie charakterystycznych, wiele możnaby przytoczyć. Czy przejście do środków gwałtowniejszych byłoby pożądane i konieczne, czas pokaże. Przypuszczać należy, że zsolidaryzowanie się części młodzieży Królestwa z uchwałami paryskiego zjazdu „Związku młodzieży postępowej", znoszącemi bojkot, musiałoby doprowadzić do zajść bardzo przykrych, gdyż młodzież, z natury prostolinijna i szczera, nie mogłaby ścierpieć w swem otoczeniu „społeczników" i łamistrejków w jednej osobie.

Walkę ze szkołą rosyjską prowadzą organizacye za pośrednictwem „Lig bojkotowych". Tu się otwiera pole działania dla starszej młodzieży Królestwa, dla młodzieży akademickiej. Bo, choć niema uniwersytetu i politechniki, młodzież taka istnieje. Na kursach naukowych i innych kursach zawodowych męskich i żeńskich pracuje znaczna ilość młodzieży, nie mającej możności wyjechać na studya zagraniczne. Młodzież ta w ostatnich czasach zdołała się zorganizować. W obozie nacyonalistycznym powstaje ona poza obrębem „Sekcyi koronnej", w obozie postępowo-niepodległościowym wchodzi w skład „Związku", na prawach autonomicznych. Swą ruchliwością zdołała ona udaremnić już parę prób Dmowskiego skłonienia tej czy innej grupy społecznej do potępienia bojkotu. Spotkawszy się wszędzie z silnym oporem, Dmowski musiał akcyę bojkotową zamknąć w ramach własnego folwarku i ślepo mu posłusznej resztki dawnej wielkiej partyi.

Nie najgorzej więc przedstawia się ruch wśród młodzieży i nie najgorsze perspektywy snuje na przyszłość. Jeśli do tego dodamy, że we wszyststkich uniwersyteckich miastach Rosyi młodzież polska, niezależnie od brania udziału w ruchach młodzieży rosyjskiej, przejawiających się od 1½ roku ze znaczną siłą i będących, jak zawsze w Rosyi, zwiastunami powszechnego wrzenia, organizuje się wspólnie w stowarzyszenia typu filareckiego i inne, opierające się w swych dążeniach programowych na ideologii Królestwa, to przyznać będziemy musieli, że niema powodu do pesymizmu i że wkrótce społeczeństwo spodziewać się powinno całego zastępu młodych kierowników ruchu. (D. C. N.)

M. SOKOLNICKI.

Z NAJNOWSZEJ LITERATURY POLITYCZNEJ.

II. ZBROJENIA SIĘ NA MORZU [1]).

Od wojny rosyjsko-japońskiej datuje nowy rozwój techniki zbrojeń morskich. Trzy główne nauki, technice przez wojnę ową wskazane, dotyczą pojemności okrętów, ich szybkości oraz kalibru armat. Eskadra licząca kilka doborowych i dobranych statków, dużych i szybkich i rozporządzająca wskutek tego swobodniej skutecznym ogniem swych dział zniosła poprostu przeciwnika o równej sile absolutnej t. j. pojemności; a zatem byłaby zdolną niewątpliwie stawić czoło eskadrze znacznie nawet silniejszej, lecz nie posiadającej tych trzech zasadniczych warunków: oto cały problemat bitwy tsushimskiej. Oddział główny, złożony z największych i równych siłą okrętów, rozstrzyga o bitwie; wszystkie inne oddziały i okręty stanowią organ mniej lub więcej pomocniczy i w bitwie mają znaczenie wtórne.

Przed r. 1904, podczas gdy całą siłę armii lądowych upatrywano w ataku wielkich szybko przenośnych całości i w ześrodkowanem działaniu ognia, na morzu zadawalniano się w natarciu dzia-

[1]) The naval annual 1911 (25-th. yeas) edit. by T. A. Brassey, I. Griffin and Co. London 1911; Taschenbuch der Kriegsflotten 1912 (XIII Jarg.) hrgg. von B. Weyer, I. F. Lehmann München 1912; Comm. de Balincourt Les flottes de combat en 1912 Paris, Berger-Levrault 1912.

łaniem lotnych oddziałów (eskadry krążowników) oraz podjazdów i podstępów (łodzie torpedowe i podwodne). Typowa to wojna forteczna! Główną też wagę przypisywano ciężko obrotnym, w istocie swej obronnym, wielkim pancernikom — rodzaju fortec płynących. Odtąd cały honor przywrócono ofensywie: armacie przypisano znaczenie czynnika rozstrzygającego. Umożliwić skoncentrowanie skutecznego ognia — ten problemat taktyki stał się głównym wskaźnikiem t e c h n i c z n y m przy budowie statków. Celem — armata, środkiem więc — osiągnięcie najswobodniej manewrującej powierzchni, najbezpieczniej przystosowanej dla najliczniejszych i najlepszych armat. Skutki pokaże nam zestawienie pierwszego angielskiego pancernika nowej ery (1906) z najnowszym (1912) pancernym krążownikiem tegoż państwa, oraz z największym statkiem zbudowanym w Niemczech do r. 1906.

Dreadnought: pojemność 21.000 tonn; długość 149 m.; siła maszyn 24,7 t. k. p.; szybkość 21,5 węzł.; załoga 720 — Działa 10×305 m/m 45 klb.
„ 24×76 m/m 50 klb.

L i o n: pojemność 30.000 tonn; długość 213 m.; siła maszyn 70 t. k. p.; szybkość 30 węzł.; załoga 950 [1]) — Działa 8×343 m/m 45 klb.
„ 16×102 m/m 50 klb.

Schlesien: pojemność 13.200 tonn; długość 126 m.; siła maszyn 20,5 t. k. p.; szybkość 19,3 węzł.; załoga 691 — Działa 4×280 m/m 40 klb.
„ 14×170 m/m 40 klb.
„ 20×88 m/m 35 klb.

Dodać należy, że pociski L w a, ważące 567 klgr. przebijają na odległość 4570 m. stalową płytę 56 cm. grubości, zaś na odległość 8229 m. — 28 cm. Czem skończy się ten przewrót techniki budowniczej? czy, jak chcą jedni, powrotem do taktyki pływających fortec, pancerników o pojemności 60 do 70 milionów klgr., a półkilometrowej długości otoczonych świtą oddziałów atakujących, podjazdów i podstępów w postaci nadwodnych i podwodnych torped? czy poprostu udoskonaleniem szybkich super-dreadnoughtów, pancernych krążowników rodzaju L w a i ich eskorty — kontrtorpedowców i łodzi podwodnych? czy też, jak już dziś zamyślają, stworzeniem typu p o d w o d n e g o p a n c e r n i k a, opancerzonego podwodnie nowym udoskonalonym i wzmocnionym systemem, pokrytego z góry płaską niezmiernie mocną powłoką, wystającą na tyle tylko, by wyłaniały się z wody paszcze armat, a informowanego o celności strzałów może za pomocą wysyłanych aeroplanów? Wszystkie te pytania stoją dzisiaj otworem jeszcze nawet dla wybitnych angielskich fachowców. Faktem jest tylko niewątpliwym, iż o s i l e d a n e j f l o t y d e c y d u j e e s k a d r a w i e l k i c h p a n c e r n i k ó w; wskutek tego w głównej pozycyi obliczeń porównawczych s t a t k i z b u d o w a n e p r z e d r. 1906 n i e w c h o d z ą w c a l e w r a c h u b ę, równie, jak wyeliminowane one zostały ze składu głównych eskadr, przeznaczonych na pierwszą linię boju.

Oto tabliczka rozwoju techniki dreadnoughtów dwu głównych mocarstw na morzu.

	Ilość [2]) dreadnoughtów	(w. pancerników	i pancernych krążowników =	c r u i s e r b a t t l e s h i p s)
	1. I. 1911	1. I. 1912	1. I. 1913 (przewid.)	1. I. 1914 (przewid.)
Anglia (od r. 1906)	10	— 10	20 lub 26	24 lub 32
Niemcy (od r. 1910)	4	9 lub 7	13 —	17 lub 16

Cały rozwój marynarki wojennej wszechświatowej dominowany jest przez konflikt, którego obrazem jest statystyka niniejsza. Anglia pierwsza rozpoczęła budowę nowoczesnych potworów. Ale Niemcy zaczęli budować d r e a d n o u g h t y w okresie właściwego tworzenia swej marynarki. D r e a d n o u g h t był 41-szym z rzędu pancernikiem Zjednoczonego Królestwa, podczas gdy niemiecki Nassau był jeno 21-szym we własnym kraju. Niemcy korzystali z nabytych już doświadczeń. Różnice między d r e a d n o u g h t a m i np. 1-ym a L w e m są, jak widzieliśmy, ogromne. Otoż piąty z rzędu d r e a d n o u g h t niemiecki posiada te cechy, jakie osiągł dopiero 10-ty angielski, a pierwszy zaraz z pancernych krążowników niemieckich silniejszy jest od czwartego angielskiego. We wszystkich pomocniczych częściach floty wojennej Niemcy podtrzymują tąż samą konkurencyę i wprawdzie Anglicy panują tak liczbą swoich kontrtorpedowców (231, z których 105 zbud. od 1906 r.) jak wielkością swych najnowszych (około 1000 tonn) nad Niemcami (117, w czem 65 po 1906 r., do 650 tonn); lecz zastanawia u Niemców nietylko liczba nowych, corocznie o 12 wzrastająca, lecz także ich udoskonalenie techniczne: szybkość doprowadzona do 36 węzłów, oraz niewiarogodnie dalekie działanie torped (broni podwodnej) — n a 6 k l m. o d l e g ł o ś c i (do niedawna tylko 500 metrów). Podobny stosunek może zajść niebawem w dziedzinie łodzi podwodnych; wprawdzie dotychczas niewątpliwą jest tutaj supremacya dwóch państw wynalazczych: Anglii (z 68-ma, z tych 52 po r. 1906) i Francyi (67-ma, z tych 42 po r. 1906). Ale Niemcy, którzy zaczęli dopiero po r. 1906 i tu rozwijają swoją milczącą i zaciekłą konkurencyjną działalność, której szczegóły cyfrowe nie są dostatecznie znane.

W czasie gdy Niemcy rozpoczęli wykonanie swego planu (1900) zbrojeń morskich i kiedy plan ten wzmogli (1906) przyszło do steru spraw politycznych w Anglii ministeryum liberalne Campbell Bannermana. Wskutek tego ogólna suma wydatków na flotę spada od 1905 po 1908 rok włącznie; w 1904 wynosiła już 37 milionów funtów; dopiero w 1910 wzrosła do 40,6, w 1911 do 44,4; suma zaś wydatków na nowe okręty spadła z 13,5 mil. w 1904 do 8,7 w 1908 i osiągnęła 13,3 w 1910, 15 mil. w 1911. Wydatki niemieckie, wprawdzie o połowę od angielskich niższe wzrosły w przeciągu ostatniego sześciolecia w dwójnasób, a wydatki na nowe budowy, w dwójnasób pomnożone od 1906 do 1909 r., wzrastają od r. 1903 stale i równomiernie, przyczem stanowią 54% budżetu marynarki, podczas gdy angielskie — 40% swojego.

[1]) Na niemieckich najnowszych okrętach tego typu załoga dochodzi do 1100 ludzi.

[2]) Różnice cyfr tu podanych polegają na odmienności zestawień niemieckich i angielskich; pierwsza cyfra jest zawsze urzędową danego państwa.

Próżnem byłoby zagłębiać się w zawikłane przyczyny tego szalonego wyścigu, równie jak wyliczać poszczególne epizody ponurego, druzgocącego konfliktu [2]), którego ów wyścig jest wyrazem.

Do r. 1909 Anglia gotową była wystąpić przeciw wszelkiej światowej koalicyi na morzu, miała więc bezwzględne panowanie morskie w swem ręku. Jeszcze obecnie chełpliwe głosy pragnęłyby widzieć mocarstwo flotowe angielskie wyższe nad Niemcy i Stany Zjednoczone razem wzięte. Minimum jednak żądań angielskich — to przewaga bezwarunkowa nad każdem poszczególnem państwem. Niemcy żądają swobody konkurencyi, całem zaś usilnem ich dążeniem staje się wyrównanie siłom Anglii: Anglicy muszą się już dzisiaj pogodzić z faktem dokonanym lub dokonywującym się; niepodobna zresztą ścierpieć dyktatury na morzu, mówią. — Jeśli naszą przewagę, odpowiadają na to sucho Anglicy, przedstawia się jako dyktaturę i samowolę, to widzimy w tem tylko dowód co się stanie, gdy tę przewagę zdobędzie nasz przeciwnik: jednocześnie koła fachowe, a z niemi opinia publiczna wystawia maksymę ową two kcel, to one, żądanie budowy dwóch okrętów na każdy nowy okręt drugiego z kolei mocarstwa morskiego, czyli Niemiec. Spór, gdzie konkurencya handlowa, zawiść nowego przemysłu o placówki ustalone, daleko sięgające obawy polityczne komplikują się konfliktem charakterów, usposobień, dążeń, staje się walką o honor, o sławę i godność kraju, o życie rosnących pokoleń i olbrzymich zamorskich pobrzeży. Od czasu do czasu w opinii publicznej angielskiej powtarzają się wybuchy niepokoju: faktem jest, iż przez lekkomyślność liberalnych kierowników rządu położenie stało się poważniejszem może, niżby przyznać chciano. Niedostateczność zbrojenia w ciągu siedmiolecia musi się spłacać obecnie nadmiernym wydatkiem. Wydatki na flotę wynoszą w Niemczech na głowę ludności 6 marek 85 pf., w Anglii 20 marek; wydatek ogólny wojskowy w Niemczech 19 m. 16 pf., w Anglii 32 m. 14 pf. Tworząca się obecnie, po koronacyjnej konferencyi londyńskiej flota dominiów zamorskich tych ciężarów nie zmniejszy, ani zapobiegnie nowym. Ciężary stają się dla tego olbrzymio bogatego państwa trudne do zniesienia. Próbowano więc prośby i groźby — równie bezskutecznie. Plany wspólnego ograniczenia zbrojeń oparły się o bezwzględność niemieckiej tendencyi konkurencyjnej i przyczyniły się tylko za każdym razem do ciężkiego dyplomatycznego naprężenia. Próby informowania się wzajemnego pono podobneż wydały rezultaty: mogliśmy je przyjąć, twierdzą Niemcy, albowiem nic w zbrojeniach naszych tajnego niema. Całkiem pono przeciwne objawiają się tendencye niewiadomo już chociażby, dla kogo właściwie budowane są wielkie statki nowoczesne republik południowo-amerykańskich — czy dla więcej płacącego w chwili ostatecznej? widzieliśmy też jak trudnem jest ułożyć, choćby dla dreadnoughtów tylko, ścisłą tablicę, szczególniej jeśli się datę miesięczną określić zechce. Zimna stanowczość, niewzruszona duma angielska trafiły na równie niebezpieczną zawziętą, zawistną, wyrachowaną i namiętnie przedsiębiorczą ambicyę niemiecką.

Szalone to i jedyne w dziejach świata współ-

[2]) Dość umiejętnie zestawione za ostatni rok w roczniku niemieckim, str. 454 sqq., 400 sqq.

BENEDYKT HERTZ.

KABOTYN.

NOWELA.

— Waryat! Żem trochę połechtał tę krowientę?

— Słuchaj, Ćwik, ty takich dziewek nie sprowadzaj do teatru — odezwał się z sąsiedniej garderoby Staszek. — I tak ładna kompania.

— Ta joj! wielga tragedya. Ją jutro wyrzucą, bo do niczego.

— A mnie co to wszystko obchodzi! — zawołał Franek i gwałtownym ruchem zdarł sobie czuprynę z głowy.

*

Pogaszono światła.

Jeszcze tylko stary kulawy Marcin, świecąc zwykłą latarką, obchodził niedbale zakątki i głośno tupał. Płomyk migał tu i ówdzie, aż wkońcu znikł niewiadomo jak i kiedy.

Teatr zasnął czarną ciszą.

Z za płóciennej ściany wychylił się Ćwik, rzucając na scenę krąg blasku z kieszonkowej lampki elektrycznej. Zbliżył się do rampy i śmignął błyskawicą po widowni, która rozrosła się nagle w olbrzymią, ciemną pieczarę. Powiódł smugą świetlną po rozpostartych drwiąco fotelach pierwszych rzędów, za któremi tłoczyły się w bezdennym mroku pałąki sztywnych, wystraszonych krzeseł. Kolejno wytrzeszczały białe numery i cofały się w cień.

Chłód go przeleciał, więc zapiął marynarkę i zwrócił się ku scenie. Choć znał tu każdy szczegół, zdało mu się przez chwilę, że jest w zupełnie obcem, jakiemś zaczarowanem miejscu. W migającem to tu, to ówdzie blasku jego lampki wirowały po podłodze, dokoła nagich słupów, długie, załamujące się i skaczące po ścianach, cienie. Czasem stawały się one podobne do wskazówek olbrzymich zegarów; zjawiały się niespodzianie, czyniły obrót i nikły. Niekiedy krąg świetlny wypełzał na przyparte do ścian dekoracye. Wówczas migały kontury dzikich, pokrzywionych twarzy, o wydłużających się i kurczących nosach. A wszystko to pędziło za Ćwika w otchłań zamykającej się tuż za nim nocy.

Po omacku wszedł do garderoby i odkręcił światło. Teraz dopiero zrobiło mu się trochę strasznie. Zjawiło się nagle w głowie jego przypuszczenie, że za otwartemi drzwiami, gdzie w pewnej odległości głuchy mrok warował, ktoś czatuje.

Chciał drwi zamknąć i wahał się. Dopiero po niejakiej chwili na czyn ten się zdobył.

Zdjął z szafy niewielki czarny koszyk, zamknięty na kłódkę i otworzył. Było tu kilka peruk, komplet szminek i drobiazgi, potrzebne do charakteryzacyi. Koszyk ten Ćwik dawno przyniósł, sądząc, że może kiedyś wypadnie mu, bodaj w zastępstwie, zagrać jaką rolę.

zawodnictwo — chyba tylko z przygotowywaniem do wielkiej wojny 1812 roku równać się jest zdolne, i jak ono, nosi wybitną cechę zaczepną, wojenną. Zbrojenia lądowe w swoich głównych pozycyach polegają na opłacaniu pewnych stałych potrzeb, na utrzymaniu siły: wydatki ściśle techniczne nie przynoszą nigdy pewnej części budżetu, stosują się do amortyzowanych wydatków dawniejszych — jak to w każdem intensywnem przedsiębiorstwie technicznem się czyni. Tak przynajmniej było do 1909 r., do czasu ostatecznego podsumowania rezultatów kampanii wschodnio-azyatyckiej, do wznowienia sprawy bałkańskiej, do ujawnienia się skutków nieobliczalnych zbrojenia morskiego. Zbrojenie się na morzu zarówno Anglii jak Niemiec polega na obaleniu i skreśleniu całego dotychczasowego rachunku. Nic lub bardzo mało są warte pancerniki budowane do 1904 r. kosztem dziesiątków milionów. Zda się, jakoby tylko żelazne prawo swobodnego rozwoju techniki rozstrzygało o tej ekstensywnej gospodarce. Wobec postępów ostatniego trzylecia mniemać wolno, że po dziesięciu latach dodzisiejsze statki nic nie będą warte. *To szaleństwo zbrojenia obrócone jest przeto, zarówno jak wszystkie szczegóły jego techniki nie ku konserwacyi sił, lecz ku zdobyciu rynków: ku atakowi i napaści.*

Ogarnia ono i przenika cały świat, który poza Anglią i Niemcami liczy dziś 8 *dreadnoughtów*, za rok będzie ich miał 20, za 2 lata — 33, w czem 7 południowo-, a 10 północno-amerykańskich. Jarzmo tych zbrojeń cięży na budżetach światowych tak, jak całość wielkiego oceanowego konfliktu uciska, urabia, rozstrzyga politykę międzynarodową, politykę kontynentu europejskiego w szczególności. Z jakiegokolwiek bądź punktu widzenia polityki międzynarodowej i w każdej z wyłącznie nawet kontynentalnych spraw należy mieć na oku tamten decydujący konflikt, któremu najnowsze zamierzenia zbrojeń niemieckich dać mogą bezpośrednie rozwiązanie wojenne. Dopiero morskie zbrojenia zważywszy jasnem się staje, że *rozstrzygnięcie kontynentalnych kwestyi europejskich nastąpić może dopiero na tle wojennych rozstrzygnięć morskich, albo w ich skutku.*

Ograniczyliśmy się w niniejszej notatce sprawozdawczej wyłącznie do kwestyi technicznych, z rozmysłu nie zaczepiając o obszerne i niepewne zagadnienia taktyki. To jedno powiedzieć należy: doskonałość techniczna jest zawsze jedną tylko stroną — na lądzie zarówno jak na morzu — taktycznej siły. Drugą, równie ważną w bitwie stanowi materyał ludzki, w danym wypadku obeznanie jego z terenem, warunkami oraz jego własna sprawność techniczna. Ironiczne swe zdania o tych, co szanse boju określają statystyką środków technicznych zamyka sprawozdawca angielski lakonicznem stwierdzeniem: „nie liczba statków, ani ilość ich dział wygrywa bitwy, lecz tylko cyfra skutecznych strzałów, wymierzonych przez artylerzystów do celu, równocześnie odpowiadającego strzałem“.

Wyjął najpierw lusterko i przejrzał się. Miał oczy zapadnięte, ale to czyniło twarz interesującą. Starannie przystąpił do robienia typu. Przylepił jasną, szpiczastą brodę, wdział rozwichrzoną perukę; a wkrótce, po odpowiedniem nałożeniu szminek, zmienił się do niepoznania. Stał się zupełnie podobny do pojmowanych z fryzyerska lekarzy damskich, jakich widywał w pismach humorystycznych. Tak właśnie Ćwik wyobrażał sobie Rembowskiego i tak wyglądał, gdy go ongi grał, lecz nie mógł dokończyć.

Jeszcze raz przejrzał się uważnie w lusterku i lęk wszelki odbiegł go zupełnie, jak go też odbiegło raptem całe poczucie rzeczywistości.

Dopiero, gdy otworzył drzwi i noc przyglnęła mu do oczu, zorjentował się, gdzie jest.

Nie oglądając się, szybko pobiegł na scenę i jednocześnie odkręcił wszystkie przewody elektryczne. Teatr w mgnieniu oka oblała światłość.

Jeszcze na moment znikł za kulisami, przygotował rekwizyty i wrócił. Wreszcie, stanąwszy tuż przed rampą, zaczął z uczuciem recytować rolę.

I zagrał ją do samego końca.

*

Gdy nazajutrz rano przyszli maszyniści, by scenę do próby urządzić, zastali teatr jasno oświetlony. Obok budki suflera leżał Ćwik z głową tak rozwaloną, iż nikt nie poznał, że był ucharakteryzowany. W skurczonej dłoni, na piersiach, trzymał ogromny, stary, powiązany pistolet — własność rekwizytorni.

*

Okropna była plucha.

Powietrze przenikał pył wodny, a bruk tonął w kałuży.

Za skromnym, jednokonnym karawanem szło zaledwie kilkanaście osób. Reszta tłoczyła się po obu stronach ulicy na chodnikach. Aktorzy, aktorki, reporterzy, trochę pensyonarek, wreszcie poważna liczba jaskrawo odzianych ulicznych elegantek.

Pensyonarki przyszły popatrzeć na Antka. Szły po dwie, po trzy; starały się być blisko niego, udając, że nie zwracają nań uwagi.

Tuż za karawanem szły obok siebie Ceśka i Stefka przebrane za wdowy, z welonami, opuszczonemi na twarze. Paradę tę uznano za niewłaściwą, bo w pewnej chwili, jakby na komendę, poczęli z trotoaru schodzić mężczyźni i nieznacznie wciskać się między wóz i dwie żałobne niewiasty. Wreszcie obie nieutulone znalazły się na końcu orszaku, tuż przed dorożkami.

Za miastem liczba zwolenników uroczystego spaceru znakomicie zmalała. Pierwszy zawrócił Staszek; rozprószyły się też pensyonarki. Większość artystek powsiadała do dorożek; część z nich kazała zawrócić.

Idący piechotą, wyciągnęli się w długi sznur. Jóźwiński człapał kaloszami i przeklinał pogodę, wyrażając głośno pretensyę do Ćwika, że nie zrobił tego w lecie. Antek zawarł przy okazyi znajomość z żółtą Lolą, kokotką lepszego gatunku i bardzo urodziwą, ale dał jej do zrozumienia, że tu nie wypada mu się z nią afiszować. Umówili się na jutro.

OSTAP HRYCAJ.

MYCHAJŁO JACKIW.

STUDYUM LITERACKIE.

I.

Są poeci obserwatorzy i poeci wizyonerzy. Realiści i symboliści. Pierwsi tworzą obrazy rzeczywistego życia, drudzy dają przeistoczenie tegoż w umyśle artysty. Organem obserwatora jest oko, wizyonera refleksya. Poeta-obserwator przetwarza zjawiska życiowe zatrzymując ich najistotniejsze rysy, wizyoner zaś ubiera je w dowolne, czysto fantastyczne formy. W utworach poety-obserwatora zawsze odszukamy nas samych, naszą rozkosz i nasze cierpienie, — bo jego twórczym organem jest przenikliwe oko dla wszystkiego, co nas i jego otacza. U wizyonera nasze myśli, nasze porywy i westchnienia odbijają się już nieco przygłuszonem echem, jak gdyby dochodziły do nas z dalekiego świata. W Dantego „Komedyi" — jest dużo ludzkiego cierpienia. Mówimy o jego „Piekle" jak o symbolu ludzkiego bolu. Ale nie wielu czytać go będzie w godzinę życiowej tragedyi.

Te jego obrazy zawsze będą miały w sobie coś z chłodnej piękności palących się nad ziemią gwiazd, takie one wspaniałe i tak oddalone od rozumienia codzienności. Ale Göthego Fausta czytamy z miłością w chwili smutku, a monologi nieśmiertelnego doktora są dla naszego indywidualnego bolu niby kojącemi łzami wyzwolenia. Bo Dante to wizyoner, a Göthe obserwator. On obserwuje przenikliwym wzrokiem nasz ból (odczuwając go głęboko na sobie) i zatrzymuje wszystkie jego najistotniejsze odcienie, tworząc jego artystyczne podobieństwo. Dlatego też rozumiemy go bezpośrednio, bez pomocy refleksyi, której domaga się od nas wizyoner, gdy chcemy go zrozumieć albo odczuć. Fausta część druga nie ma już obserwacyjnego elementu i jest nam bardziej obcą. Organem twórczym przy jej tworzeniu była refleksya, poeta-obserwator przerzucił się w poetę-wizyonera — i utworu tego nie rozumiemy już bez pomocy refleksyi. Rozumieją go głównie mądrzy komentatorzy i profesorowie uniwersytetów. My zawsze znamy tylko część pierwszą, bo tworzył ją poeta-obserwator. Ten przemawia do nas językiem Codzienności, przepojonym tylko jego (artysty) temperamentem, u wizyonera zaś ta prosta mowa milknie, o ile poeta zastępuje ją wspaniałym (a więc sztucznym) patosem nadziemskiego natchnienia.

Z takim patosem przemawiają do nas Milton, Shelley, Calderon, Słowacki, Schiller, Racine i ich wielcy pokrewni. Wyczarowują przed nami gigantyczne światy wizyi, olbrzymie dusze Szatanów, Karolów, Prometeuszów, Pozów, Książąt Niezłomnych, Anhellich — a każą im przemawiać do nas uroczystą mową Ideału. Ale w kaskadach majestatycznych słów, czysto ludzka zawartość ich ginie i te wspaniałe dusze stają się tylko ideami. Nie współczujemy z nimi, tylko podziwiamy piękno ich myśli. U wizyonerów jak w świątyniach — niema samego bolu, samej rozkoszy człowieka, tylko święte dumanie o nich — głębokie a nieme,

---

Brawiczowa szła wciąż piechotą i nie przestawała się modlić.

Franek i Antonina trzymali się najbliżej karawanu. On szedł z odkrytą głową, nie zważając na przykry deszcz, co mu z włosów za kołnierz spływał i monotonnie szeleścił, skrapiając parasol Szablickiej.

Minęli bramę cmentarną, której nie otworzono przed samobójcą i powlekli się wzdłuż białego muru ciasną kotliną między wysokiemi, piaszczystemi urwiskami.

Za cmentarzem był chudy lasek, w którym gdzieniegdzie widniały sterczące pochyło krzyże.

Zdjęto trumnę. Do niesienia jej Franek stanął pierwszy. Czterech mężczyzn wzięło ją na ramiona, a mały pękaty komik wlazł pod spód i pomagał obu rękami. Ślisko było. Bez drogi, po przemokłej, zeszłorocznej trawie wdrapano się na dość wyniosły garb ziemi. Grabarze kończyli dół kopać. Ustawiono przy nim trumnę. Brawiczowa kucnęła, klęknąć nie miała odwagi i nie przestawała poruszać wargami. Franek zaśpiewał modlitwę z „Halki" przy dość fałszywym akompaniamencie Wacława i Jóźwińskiego. Poczem grabarze zabrali się do fachowego wyświadczenia ostatniej Ćwikowi przysługi.

I wszystko skończyłoby się banalnie, szablonowo, gdyby nie dwie „wdowy" o których ogólnie już zapomniano, a które niespodzianie i równocześnie wyrosły nad grobem.

Pierwsza zaszlochała Cesia. Załamała ręce i krzyknęła głosem kłutego wieprza:

— Mój, mój ty jedyny!

Pozazdrościła jej tego występu Stefka i również zawołała:

— Mój, mój jedyny!

Nagle spojrzały na siebie tak, jakby dopiero teraz jedna drugą zauważyła.

— A ty, flondro, czego tu chcesz? — zapytała Stefka.

— Ty, tłomoku jeden, milcz, bo... — odpowiedziała Cesia.

Ale nie skończyła przemowy, bo oto Stefka porwała ją za welon i poczęła tak tarmosić, że wkrótce kapelusz z głowy jej zdarła.

— Przez ciebie to wszystko, przez ciebie, ulicznico! — krzyczała, wymachując wdowim kapeluszem. Cisnęła go wreszcie, ale tak niezręcznie, że wpadł do grobu.

Poczciwina grabarz wydobył go w opłakanym stanie; a Antek i Wacek poprosili damy, by się uspokoiły, lub poszły precz.

Grób zasypano.

— Jeszczem nie widział tak śmiesznego pogrzebu — zauważył Antek. — Całe życie był komik.

— Ale ostatecznie baby się o niego pobiły. No, no, ktoby to powiedział, o Ćwika!

— Nie żartujcie — warknął Franek, wkładając nareszcie kapelusz. — Kabotyn był; a my co?

Antonina wycierała łzy i umawiała się z Brawiczową, żeby wziąć razem dorożkę.

KONIEC.

jak owe ranne modły w „Świętym gaju“ Böcklina. Przeistoczenie życia. U wizyonerów jesteśmy już hen ponad światem, — prawie że nie poznajemy bolu Codzienności. Gorączka naszego cierpienia ostudza się, ponure przeżycia przemieniają się w marmurowe posągi Piękna, jaśniejące powagą i chłodem. Jest w nich cisza zaświatów. Nasz ból musimy w nich z trudem odszukiwać, podobni w tem do Orfeusza, szukającego drogich cieniów w Hadesie.

A obserwator zawsze idzie padołem łez. Wiedzie go Geniusz Piękna przez najciemniejsze zakątki istnienia. Obserwator nie ubiega się o klasyczną piękność białych marmurów, ukochał za to purpurowy blask krwawych łez człowieka. Wizyoner chciałby harmonię zaświatów przenieść między ludzi i dostraja (niekiedy gwałtem jak Schiller) swe typy do wymarzonych schematów. Doskonałości, obserwator jak Anioł obejmuje skrwawioną duszę człowiekia i z padolu łez unosi ją pod gwiaździste sklepienia Piękna. Przyjmuje ją taką niedoskonałą i skalaną jaką jest — a jednak w opromienieniu jego głębokiej obserwacyi te dusze stają się czyste jak dusza Gretchen-zbrodniarki. Tak więc najgłębszym akordem ich sztuki — sztuki wielkich obserwatorów — są dwa potężne słowa: Absolote.

II.

Ukraiński nowelista Mychajło Jackiw — to typ poety-obserwatora. Wprawdzie dużo jest w nim elementu wizyonerskiego, ale w najpiękniejszych jego utworach ów element to tylko konieczne następstwo rodzaju jego obserwacyi, którą poznamy jak zjawisko sui i to głęboko sui generis. Białem skrzydłem swej smutnej Sztuki trąca Jackiw duszę człowieka, zwierzęcia i drzewa — a one zdradzają mu swe najgłębsze uczucia. Spotkamy się u niego z nadziwniejszemi i najprostszemi tragedyami ludzkiej i zwierzęcej duszy. A o każdej opowie on nam tak szczerze i niewyszukanie, jakby opowiadał nam swą własną historyę. Te jego nowele, to omal że nie wiersze. Turgeniewska poezya w prozie. Dziwny kaprys artyzmu.

Nowelista Jackiw jest właściwie najsubtelniejszym lirykiem, a w gronie naszych ukraińskich modernistów — jest to omal że jedyny prawdziwy obserwator. Bo do artystycznej, przetwarzającej obserwacyi życiowych zjawisk trzeba głębokiej miłości do człowieka i zdolności tworzenia ludzkich dusz (owego potężnego ποιεῖν), z którego Mickiewicz wyprowadzał etymologicznie najgłębszą istotę artyzmu*), — a nasi moderniści — mówię tu o naszych lirykach — nie zdolni ani do jednego, ani do drugiego. Jackiw kocha człowieka i stwarza go, a oni nie lubią ludzi i konstruują. U nas Ukraińców prawie normalnym typem poety jest wizyoner-mizantrop. Opiewa swe marzenia i nienawidzi tłumu (a więc ludzi) jak Sulla. Spoczywa na purpurowem łożu swego bólu i daje nam tylko jego nieskończone waryacye. A kiedy zwróci się do ogółu, to daje tylko wizye i konstrukcye, wpadające niekiedy w ton proroka. Nasi poeci są skończonymi egotystami i dlatego też są — prawie wszyscy lirykami. Nawet ich dramaty**) — to tylko liryczne ekskursy i wizye. Bo nie są obserwatorami życia. Oni wszyscy to wizyonerzy na tle swego „Ja“ i jakiegoś niejasno zdefinionanego „wy“. Trudno im stworzyć człowieka, bo niema u nich przetwarzającego oka dla rzeczywistości. A głównie — brak im miłości do człowieka. Któż z nich zaśpiewa teraz:

„Uścisnijcie mi bracia najmłodszego brata?“

Mają tylko świadomość swego „ja“ i jego arystokratycznych postulatów. Wobec Marzenia-Snu naszych poetów-wizyonerów, przedstawia się rzeczywistość zawsze jak wrogie środowisko, pętające ich nogi w wędrówce do Ideału i dlatego trudno u nich doszukiwać się poezyi realnego życia. Pozytywnym elementem u nich — marzenie — mniej lub więcej ciekawy wytwór wyobraźni. Ich Piękno to tylko piękno mistrzowsko rzeźbionych artefaktów. Życie i ludzie nazywają się tu bagnem i tłumem. A do rzeczywistości woła się stereotypowe: *Odi Profanum*.

Trudno wykuć z tego j'accuse pod adresem całej szkoły. Według mego zdania artysta tworzy podług niezmiennych praw swej osobowości, a *velle non discitur*, jak lubił cytować Schopenhauer. Ukraińska sztuka musiała przejść tę ewolucyę pesymistyczno-arystokratyczną, która przedstawia się nam logiczną acz ekstremową reakcyą przeciw taniemu i nieartystycznemu realizmowi naszych poprzedników z drugiej połowy XIX. w. Ale możemy przecież pragnąć, aby nasi poeci przestali zajmować się tylko wewnętrznemi tragedyami swej duszy, a przeszli do rzeczywistości, do obserwacyi zjawisk życia. Bo sztuka — owa wielka sztuka nie zawsze ucieka od rzeczywistości. Ona korzy się przed posępnymi obrazami prawdziwego życia jak przed kastalskim źródłem swego własnego żywota. Realizm nie jest kierunkiem w sztuce. Jest on jej najgłębszym fundamentem. Nawet genialni symboliści — to tylko drugie oblicze Janusa realizmu. Absolutny symbolizm, absolutna przewaga indywidualnego marzenia w sztuce — stawia ową *sub auspicia absurdi*. Prawda Codzienności mści się srogo na pięknem kłamstwie Marzenia. Mniejsza o to że rzeczywistość — to padół łez. Poetyckie przetwarzanie tego padołu, pozłacanie ciemnych chmur życia łagodnymi promieniami piękna — oznaczył Göthe jako szczyt artyzmu — on — który jak nikt inny kochał nieskalany blask helleńskich posągów. A więc nie lękać się westchnień, łez i przekleństw proletaryusza, ale przetworzyć je w symfonie, perły i skargi Prometeusza — oto problemat prawdziwej sztuki. Tej wyzwalającej sztuki wielkich — artystów realizmu. Zawsze z wdzięcznością będziemy czytali Szekspirów, Dostojewskich, Ibsenów, Flaubertów, Jacobsenów i Tołstojów za ich obrazy ludzkiego cierpienia. Oni — to historiosofowie naszego bolu, a otwierając święte ich księgi — czytamy niby swą własną historyę. Hamlet, Raskolnikow, Madame Bovary, Niels Lyhne — jedno mają źródło: cierpienie człowieka. Ale nie cierpienie rozmarzonego egotysty.

III.

Jackiw ma właśnie to ostre oko dla cierpienia człowieka. Ale nie jest to owo własne liryczno-nastrojowe cierpienie, które od czasów Byrona zaczęło się uważać za dobry ton w sztuce. Obce cierpienie odczuwa Jackiw. Jest on pod tym względem prawie idealnym typem słowiańskiego

*) Cytuję ogólnikowo z „Wykładów o literaturze słowiańskiej“.

**) Głównie u Wasyla Paczowskiego. Także najnowsza tragedya tego poety, p. t. „Słońce Ruiny“, to tylko szereg zdramatyzowanych ludowych dum.

artysty. Nasi zdesperowani lirycy są już to Francuzami, już to Włochami, już to Niemcami — albo nawet znirwanizowanymi Bramanami. On jeden jest prawdziwym Słowianinem wskutek tego głębokiego współczucia dla wszystkiego, co cierpi. Przypominają mi się mimowoli słowa Oskara Wilde'a o Dostojewskim. „Patrzcie, woła Anglik — jak nieubłaganie maluje Flaubert cierpienie pani Bovary. Ani jedna łza nie drży w jego oku na widok najboleśniejszych przeżyć nieszczęsnej bohaterki — obojętna ręka artysty-matematyka nie pomija ani jednego skurczu na jej obliczu. A w obrazach Dostojewskiego — ileż prawdziwie Chrystusowej miłości do człowieka! Prawie każde słowo perli się jako łza w oku. Zaprawdę — my egoiści Zachodu nie mamy pojęcia o ludzkości tych barbarzyńców." Tak. Ci barbarzyńcy patrzą na życie inaczej jak Baudelaire, jedna nowela Garszina zawiera w sobie może więcej życiowego tragizmu, niż dzieła wszystkich paryskich Satanistów. Nie doszliśmy jeszcze do ironii Francuzów, ani do filozofii Niemców. Uczucie zawsze jeszcze jest eksponentem nszej artystycznej kultury. Nawet Tołstoj, który pisywał swe powieści już prawie z francuską ironią i elegancyą — stał się wkońcu ofiarą swego słowiańskiego uczucia i nie wahał się nazwać czysto-przedmiotowego Szekspira złym artystą. Wilde znakomicie zaobserwował owo współczucie słowiańskiego autora dla przedstawianych osób. Słowiański artysta jest pod pewnym względem niewolnikiem swego utworu, dając mu się mniej lub więcej determinować.

Widzimy to u Jackowa. Pierwszy zbiorek jego nowel (którym autor debiutował) ma tytuł: „W królestwie Szatana." Brzmi to jak przekleństwo. W każdym razie jaki credo pessymizmu. Przeczuwamy, że chłodnej obserwacyi tu nie będzie. Życie z góry nazwano królestwem Szatana. A od tego słowa nie daleko do drugiego: Apage. Ale nie. Jackiw nie lęka się tego królestwa, nie zastępuje go fantomami Marzenia. A szatańskich scen dużo w tym zbiorku, prawie możemy mówić o piekle Jackowa. O piekle, gorejącem na dnie żyjącej społeczności. Naszej żyjącej społeczności. Rzeczywistość bowiem nie jest inną jak te obrazy z królestwa szatana. Trzepaczki w kasarniach gwiżdżą jak i dawniej („Jesienna niedziela w kasarni"), giną na ulicy skatowane konie („Woźnica i konisko"), nieszczęsna psina odczuwa boleśnie pisk jej topionych dziatek („Psina"), biedny głupkowaty kopciuszek, Justyna, a popychadło całego domu — przyciska do serca jedyną swą radość na świecie — obrazek ze starej gazety („Głupkowata"), nieboga Klara w prostych słowach opowiada dawnemu kochankowi jak to czysta miłość do niego, w prostej linii rzuciła ją w objęcia prostytucyi („Cóż zrobić"), topi się lube dziewczę Marusia z obawy przed pierzchnięciem szczęścia („Wiosenny zachwyt"), urąga pogański tłum poecie i jego ideałom („Pogaństwo tłumu"), nieświadome samych siebie ślepe owce — któż jak nie lud? — smutnie patrzą się przed siebie („Białe owce") opowiada rozczarowana artystka historyę swych martwych illuzyj („Diva"), stary żyd-bankrut wypija do dna kielich swej nędzy („Nuchim"), a biedna Ołena, najemnica strasznej Wasylowej ginie cicho jako ofiara niemiłosiernych gospodarzy („Na słubie").

Smutny szereg smutnych postaci. Gdziekolwiek książkę otworzymy — ból, rozpacz i śmierć. Przekleństwa lub smutna rezygnacya dręczonych ludzi i nieme cierpienie zwierząt. Padół łez przechrzcił Jackiw na królestwo szatana. Bo czemże jak nie królestwem szatana jest ta straszna kasarnia z całym szeregiem gnębionych bez litości ludzi? W czterech nowelach („Pod obuchem" „Pokłon dusz" „U miłosiernej bogini z kamiennem sercem" „Chrystus w garnizonie") przedstawia nam Jackiw całą tragedyę militaryzmu: owo poniżenie godności człowieka przez martwy rygor, tak wymownie przedstawione w szeregu porywających swym realizmem scen między rekrutami a niższą szarżą i w scenach z aresztów i szpitalów wojskowych. Cierpieniem żołnierza zaczął Jackiw swą historyę o człowieku. Rzec wypada: nie bez pewnej przesady. *Audiatur et altera pars* nie istniała dla naszego debiutanta. Po stronie rekrutów jest wszelka sympatya — po stronie militaryzmu przemoc i barbarzyństwo. Powiedzmy nawet, że i stosunek rekrutów do matek — mojem zdaniem najpiękniejsze karty tych nowel — może zanadto wyidealizowany. Wszelakoż na ogół wziąwszy: te nowele wojskowe — nawet z ich realistyczną przesadą i że tak się wyrażę torturofilią — zostaną na zawsze świadectwem talentu i szlachetnych tendencyj autora: oświetlenia nędzy żołnierza. Są tu miejsca o takiej głębi uczucia, że mógł je napisać tylko prawdziwy poeta. Głównie te miejsca, gdzie przemawia matka, siostra, lub kochanka. Nie waham się tutaj porównać Jackowa z Dostojewskim. Tylko kobiety wielkiego Rosyanina przemawiają tak szczerym językiem miłości jak kobiety Jackowa. Posłuchajmy jak opowiada nam o ostatnich chwilach rekruta „U miłosiernej bogini z kamiennem sercem"—„Wojskowy szpital..." Do chorego z połamanemi nogami i żebrami przystąpił żołnierz i podał list. Szklanemi oczyma patrzył on na list, potem oglądał najmniejszą drobnostkę, jak gdyby chciał ją na wieki zachować w pamięci.

Prosił szeptem, aby mu przeczytano.

Żołnierz usiadł koło niego i czytał:

„Mój najdroższy Synu!

Donoszę Ci, że z łaski Pana Boga jeszcze żyję i życzę Ci zdrowia i powodzenia. Rok już minął, a od Ciebie niema żadnej wiadomości. Myślałem, uchowaj Boże, żeś już umarł, ale wójt mówił, że byłaby czarna kartka przyszła. Więc znaczy, że Ty, Bogu dzięki, żyjesz, lecz co się z Tobą dzieje, jak Ci się powodzi, tego nic a nic nie wiem: Najdroższy Synu, serce mi się z żalu kraje, że mam Ci dzisiaj donieść smutną wiadomość. Matka twoja już nieboszczka. Niech ją Bóg przyjmie do królestwa niebieskiego, a Tobie niech użyczy siły i pocieszenia. Biedaczka bardzo tęskniła za Tobą, rozbijała się jak jaskółka, do ostatniego tchu pytała za tobą, kiedy wrócisz, mówiła, że gdyby Ciebie choć raz jeden zobaczyła, odżyłaby jeszcze. Staruszek Maksym ledwie ją uspokoił. Upominał ją, żeby tak nie tęskniła, bo jej żal uścieli Ci do skonu smutną drogę, a ona zakrywała twarz rękoma, dusiła się i tak milkła. Przyjmij jej ostatnie błogosławieństwo, Synu. A ja także nie spodziewam się obaczyć Ciebie. Synku, Synku! Tyś daleko, a ja bez żadnej pomocy, dni swojej starości liczę i gorzką nudę i niemoc gryzę. Tęsknica kamieniem piersi mi przygniata, gardło dławi i ogniem piecze."

Chory odwrócił głowę i poruszył kurczowo ręką do czytającego.

„Poczekaj trochę."

Łzy strumieniem toczyły się po żółtem, nieruchomem obliczu —

Szeptał, jak gdyby modlił się.

„Boże, Boże, mocny Boże, zabierz mię z tego świata."

Żołnierz czytał dalej:

„Nieraz wieczorem wywlokę się w pole, trawa jak barwinek, dawno już dojrzała, marnie przepada, bo niema twych rąk, niema Ciebie, żebyś stanął z kosą. Krwawemi łzami wołam: Wróć się, wróć się, mój Synu! Trawa szlocha, ziemia szlocha za Tobą!"

„Oj — czy nie on. W niebie chyba stanie z kosą", — wtrącił się półgłos z sąsiedniego łóżka.

Czytającemu żal skrępował gardło. Chory wpatrzył się w sufit i szeptał w duchu.

— Boże, zlituj się nademną, odpuść mi...

Żołnierz czytał dalej.

„Ja stoję, tumanieję, w ziemię zapadam, a noc zakrada się, jak złodziej, gasi moje światło, tłumi nadzieję i posuwa się z moją tęsknicą dalej i dalej. Spowija ziemię, niebo, świat cały. Taka czarna, ciężka noc bez końca."

List kończył się ukłonami i pozdrowieniem, lecz chory ich już nie słyszał. Dozorcy przystąpili żegnając się znakiem krzyża".

Nigdy nie mogłem czytać tego bez wzruszenia.*)

(Dok. nast.)

*) Cytowane z książki: „U miłosiernej bogini z kamiennem sercem" Lwów 1912 (Przekłady S. Twerdochliba z Jackowa.)

B. H.

W SPRAWIE KULTURY TEATRALNEJ SŁÓW KILKA.

W Nr. 47 „Słowa Polskiego" z d. 29. stycznia r. b. p. Ludwik Skoczylas zamieścił artykuł „O kulturze teatralnej", będący klasycznym niejako objawem tego bałamucenia opinii publicznej, na jakie wciąż pozwala sobie u nas dyletancka frazeologia. Deklamacyą pustą i sztucznym patosem, zastępującym myśl i trafną obserwacyę, p. Skoczylas usiłuje dowieść, że kultura teatralna w Polsce upada. W tym celu stwierdza on istnienie zjawisk, których nikt, bez uprzedzeń patrzący, zauważyć nie zdoła.

P. Skoczylas prawi nam np. o jakiejś publiczności, która „wstydzi się iść do teatru po poezyę"... Alboż to prawda? Więc skąd powodzenie sztuk Wyspiańskiego? Wypróbowane powodzenie! Oczywiście, nie wszystkich sztuk, ale wszystkich tych, które — bodaj w przybliżeniu — odpowiadają wymaganiom sceny. Dalej — skąd powodzenie utworów Słowackiego, Ibsena, „Dzwonu zatopionego" lub „Hanusi" Hauptmana? Dlaczego atrakcyą jest imię Rostanda? Dlaczego afisz z nazwiskiem Staffa budzi zaciekawienie? Maryonetek spodziewa się publiczność?

Na czem więc opiera swe twierdzenie p. Skoczylas? Ot, poprostu powiedziane dla powiedzenia, dla giestu, dla frazesu.

Pour épater le bourgeois.

Załamawszy ręce nad publicznością, p. Skoczylas przychodzi do teatru i powiada, że „Upadek teatru, stałej sceny i kultury teatralnej u nas jest niestety faktem stwierdzonym"...

Stwierdzonym?... Czyż?

Zdaje się, że mamy tu do czynienia z urojeniem w rodzaju zapewnień, które każą nam wierzyć w obecny upadek moralności i tęsknić za „dawnemi, dobremi czasami" pańszczyzny, zajazdów, pijatyk, *jus primae noctis* i innych równie miłych specyalności „naiwnych" (jak ich zwie p. Skoczylas) pradziadów.

Epitet ten raczej stosować należy do tych wszystkich, którym się wydaje, że wszędzie dobrze, gdzie ich niema; i którzy właśnie dlatego mają tak wygórowane o przeszłości pojęcie, że... o niej najmniejszego pojęcia nie mają.

Gdyby ś. p. Bogusławski wstał z grobu, byłby niewątpliwie dla dzisiejszego teatru znacznie bardziej pobłażliwy, niż krytycy w rodzaju p. Skoczylasa.

Znowu więc zapytać się godzi, na czem ten ostatni oparł swe twierdzenie? Chyba nie na bezstronnej, przedmiotowej obserwacyi. P. Skoczylas nie był przecież uczestnikiem „zabawy naiwnych pradziadów", zatem porównanie rzeczowe jest wykluczone.

I nikt z nas takiego porównania przeprowadzić nie zdoła. Możemy jedynie porównywać starą literaturę dramatyczną z młodą i dawną technikę gry aktorskiej z obecną. Zestawienie w obu wypadkach daje *plus* czasom obecnym: zarówno literatura uczyniła olbrzymi krok naprzód, jak i metody scenicznego odtwarzania. W jednej typy zastąpiono przez charaktery, coraz bardziej indywidualizowane; uproszczono znakomicie dyalog, pogłębiono idee; w drugich (t. j. metodach gry aktorskiej) wypowiedziano walkę nienaturalnemu pozerstwu, komedyanckim gestom, sztucznemu patosowi i całemu temu głosowemu i ruchowemu rzucaniu się (jak to mówią: od kulisy do kulisy), które działa na wyobraźnię mniej wrażliwej publiczności. Metoda dzisiejszej gry żąda skupienia i prostoty, zbliżania sztuki do prawdy, do natury, licząc na widza subtelniejszego, niż miały teatry, starej szkoły, w których grubo robione melodramaty, obecnie możliwe tylko w teatrach popularnych, dawały nieraz pole do najświetniejszych popisów Królikowskiemu i Modrzejewskiej.

P. Skoczylas w jednem miejscu ma po części słuszność: dzisiejsza sztuka aktorska nieco zaniedbuje dykcyę. Lecz co jest tego przyczyną?

Przedewszystkiem gdzież są szkoły dramatyczne, godne objąć sukcesyę po Bogusławskich i Deryngach? Niema ich. Natomiast wiemy, jak szkolnictwo dwu zaborów traktuje język polski (nowe prywatne uczelnie w zaborze rosyjskim nie zdążyły jeszcze wydać plonu swej działalności). Upośledzenie mowy polskiej w Poznańskiem i Królestwie odbija się nietylko w teatrach. Jego skutki widzimy również w publicystyce całej Polski, nie wyłączając Galicyi — ile że zarówno aktorzy, jak dziennikarze, to naród wędrowny, kordonów nie znający (co, skądinąd, jest okolicznością nader pomyślną).

Przecież język prasy polskiej jest, z małymi wyjątkami, wprost skandaliczny. Toć w najpoważniejszych dziennikach krakowskich i lwowskich roi się

od s o r t, w y k o n u j e i t. p. kwiatuszków. A styl, a zwroty, a znaki przestankowe!... Zajrzyjmy tylko (z a g l ą d n i j m y) do „Poradnika językowego“, a włosy staną dęba.

Lecz p. Skoczylas żąda specyalnie od aktorów „do szału posuniętego ukochania ojczystego słowa“.

I w tem właśnie powiedzeniu mamy wyraźny przykład sztucznego patosu i gonitwy za frazesem, ożywiającej tego rodzaju występy. Mowę ojczystą kocha się prosto, bez żadnych szałów. Kocha się, jak dom rodzinny, jak kraj, w którym się wzrosło, jak pola lub ulice, z okiem od dzieciństwa pobratane. Kocha się cicho i bardzo głęboko, a często tem mocniej, im mniej się sobie miłość uświadamia, zwłaszcza zaś, im mniej się o niej gada.

P. Skoczylas pozwala sobie wątpić o tej miłości, ze strony generacyi współczesnej aktorów polskich. Wątpi na tej podstawie, że niektórzy z nich mają zaniedbaną dykcyę (*nota bene* — wadę tę spotykamy i u kilku wirtuozów najświetniejszego okresu sceny warszawskiej).

Ryzykowna podstawa.

Czy p. Skoczylas ma choć przybliżone pojęcie o nędzy, tułaczce, poniewierce, przez jaką przejść musi każdy aktor polski, nim zdobędzie t. zw. stanowisko? Czy słyszał, że ludzie ci całemi latami nie wiedzą, co znaczy kąt własny, byt jako tako spokojny, jutro bodaj względnie zapewnione? Czy p. Skoczylas oryentuje się w okropnościach takiego życia, czy je choć trochę odczuwa?

I co każe tej rzeszy skazywać się na bezdomność, głód, ciągłą losu niepewność?

Juści, ma życie teatralne pewne pociągające strony. Ale czyż te, rychło rozwiewające się, miraże byłyby zdolne same przez się, bez motywów głębszych, zmusić do wytrwałej służby owe gromady i gromadki „wykolejeńców“, jak zwie p. Skoczylas aktorów?

Byłoby to przypuszczenie, oparte na znajomości rzeczy i obserwacyi nader powierzchownej.

Nie!

Oni k o c h a j ą. Kochają sztukę, często nawet nie zdając sobie z tego dostatecznie sprawy i bez gadania o tej miłości. Kochają tak, jak człowiek szczery, prosty kocha mowę ojczystą — czynem i ofiarą.

Bo ofiarą jest dotąd jeszcze być u nas aktorem. Krytycy w rodzaju p. Skoczylasa z lekkomyślnym pośpiechem zestawiają rezultaty pracy polskich artystów dramatycznych z plonami ich kolegów niemieckich, francuskich, a choćby rosyjskich.

Ładna różnica?

Krytycy ci najwidoczniej pojęcia nie mają o olbrzymiej różnicy warunków służby. Aktor niemiecki, francuski wcale nie rozumie, jak można grać rolę, nie studyując jej i nie próbując miesiącami. Aktor polski musi zadawalać się dniami, kilku tygodniami w najlepszym razie. O różnicy gaż nie mówmy, bo za daleko byśmy od przedmiotu odbiegli.

Bądź co bądź, godzi się tu podnieść, że u nas aktor karyery materyalnej nie robi. Na palcach można policzyć jednostki, po europejsku wynagradzane. Większość zadawala się bardzo, bardzo... kłopotliwem życiem za pracę tak ciężką i w takich warunkach, na jakie nie przystałby żaden „przyzwoicie“ — jak się wyraża p. Skoczylas — zatrudniony pracownik.

Aktorstwo jest pracą ciężką, wyczerpującą nerwowo i fizycznie. Ale tego nie przypuszczają wcale dyletanci, miłośnicy, flirtujący po próbach teatrów amatorskich. Im się ono wydaje zabawą.

I stąd sądy tak płytkie i lekkomyślne, jak p. Skoczylasa. Stąd średniowieczne traktowanie aktora, jako wyrzutka, wykolejeńca.

A tymczasem, gdyby tak p. Skoczylas stosunki odnośne badał, nim się wziął do gawędzenia. „O kulturze teatralnej“, dowiedziałby się, że poziom kwalifikacyi umysłowych polskiej rzeszy aktorskiej znakomicie podniósł się w stosunku do „dawnych dobrych czasów“ i że dalej stale się on podnosi. „Wypędki“ są w każdem środowisku artystycznem. Ale dlaczego? Oto dlatego, że dzisiejsi pedagogowie są w sporej części ciasnymi, ograniczonymi rutynistami, nie umiejącymi dawać sobie rady z żadną bardziej wybujałą, oryginalną indywidualnością uczucia. Toć przecie nauczyciele zmusili Paderewskiego do opuszczenia konserwatoryum warszawskiego; nauczyciel też radził Matejce, pójść do szewca. A przecież te „wypędki“, którym zalecano „przyzwoite“ zajęcie, poszli swoją drogą i spojrzeli z góry na swych malutkich sędziów.

Z RELIGII WOLNYCH DUSZ.

(DROBNE UWAGI NA MARGINESIE ARTYKUŁU, PODPISANEGO LUX, W N-RZE GRUDNIOWYM „KRYTYKI“).

W N-rze grudniowym „Krytyki“ pojawił się artykuł Luxa, palący kadzidła na cześć broszury Micińskiego, contre Niemojewski p. t. „Walka o Chrystusa“.

Zaznaczam z góry, że nie występuję w obronie A. Niemojewskiego i jego „Boga Jezusa“ — zaznaczam z góry, że cieszę się talentem Micińskiego. Nie *kocham* jego twórczości — droższą jest duszy mojej twórczość np. Żeromskiego — ale cieszy mnie, jak się cieszę wszystkiem, co chlubę może piśmiennictwu polskiemu przynieść. — Nie poraz pierwszy występuję, występuję konsekwentnie, tak samo wystąpiłem, gdy p. Żuławski napadał w „Słowie“ na Feldmana („Kuryer Lwowski“). Chodzi mi o godność słowa i sposób polemizowania u nas.

Kiedy „Krytyka“ polemizuje z „Myślą Niepodległą“ Niemojewskiego, o rzeczy społeczne, o kwestyę żydowską np., jak ostatnio bywało — nie reaguję na to, ani nikomu nie przyszło by na myśl reagować. Teorye społeczne, rzucane w tłum, mogą być przez kogokolwiek bądź z tego tłumu podniesione, krytykowane, osądzane. Są to kwestye bieżące i — kwestye przystępne dla ogółu. Rzeczą zaś przeciwników jest utrzymać w polemice ton przyzwoity, aby nikt interweniować nie potrzebował.

Jeśli jednak chodzi o dzieła naukowe, prawo głosu mają tylko fachowcy, lub przynajmniej ludzie, mogący się wykazać jakiem takiem oczytaniem w odnośnej literaturze.

Tego zaś ani śladu nie znajdujemy w polemicznej broszurze Micińskiego p. t.: „Walka o Chry-

stusa", mającej być repliką na naukowe dzieło Niemojewskiego: „*Bóg Jezus*".

Gdyby Miciński był napisał poetyczną jeremiadę tylko na temat, że „mędrca szkiełko" odbiera duszy naszej „świetlaną" postać Chrystusa — że żal mu, gdy kto stara się obalić historyczność zjawy, do której przywiązał się on i jemu podobni — uśmiechnęłabym się tylko, jak do kaprysu dziecka — bo ostatecznie sama przeżyłam tą dobę dziecinnych urojeń i tęsknot, dziś stojąc na stanowisku „*Kazań polskich*" Jana Hempla hardo i dumnie odrzucając religię Pokory, negacyi życia i samodzielności. Wszak pisałam w artykule moim z tomu IV. „Kultury" p. t. „*Trzy rodowody Chrystusa*":

— Słusznie Renan rzekł, że „serca gorące nie godzą się nigdy na to, by cokolwiek, co ich dotyczy było rzeczą ślepego przypadku".

Chcąc więc nadać znaczenie przyjściu na świat Chrystusa — Chrześcijanie nie uchylili się nawet od tego, by mu dać za przodków najpotworniejsze nawet postacie tradycyi żydowskiej (Rahab, Jezabel, Dawid etc.) — plącząc się w tych wywodach heraldycznych wprost rozpaczliwie. Żydzi z kolei chcieli dowieść, że Chrystus to oszust, najhaniebniejszego pochodzenia *(Kalla 18 b. — Gittin 90 a. — Chagiga 77 d. etc.)*, syn wszetecznicy i rzymskiego żołdaka.

Jezus Chrystus wyszedł jednak historycznie cało, tak z egzaltowanych małostek Kościoła chrześcijańskiego, jak i z paszkwilów Talmudu. Przyjść on musiał nie z pałaców, bo nigdy człowiek zstępujący z tronu, nie przemówi tak rzewnie, imieniem nędznych i głodnych i wyzyskanych, jak on. Kim była jego matka? jego ojciec? Obojętne. Alboż się i dzisiaj troszczą, kto rodził tego robotnika, którego przy pracy belka zmiażdżyła?!

. . . .

Pochowano go może w miejscu kaźni? Może ptactwo krakało długo i tragicznie nad jego ciałem? Może ciągnęły go psy po polach zamiejskich, tak, aby słowa jego do końca prawdę głosiły, skoro mówił: „*Liszki mają jamy a ptacy niebiescy gniazda, lecz jam nie miał gdzie skłonić głowy*".

Po nim nic nie zostało i nikt nie wie, gdzie śpi wielki Bezimieniec, śniąc swój sen o plonach obfitych.

W ten sposób można mówić, zawsze i wszędzie w ten sposób walczyć o Chrystusa. Serce ma prawo głosu wieczne, ale mózg — nie! Mózg musi zadokumentować swoje prawo do zabierania głosu. Otóż Miciński w „*Walce o Chrystusa*" niczem swego prawa występu nie zadokumentował, nawet takim zwykłym procederem, który potocznie „zamydlaniem oczu" określamy. Cytaty jego nie mają żadnej wagi dla świata uczonego, podręczniki, którymi się posługiwał, należą prawie do popularnych. Równie dobrze mógł T. Miciński powiedzieć: „Słuchaj, myśląca hołoto! Ewangelie powiedziały, że Chrystus istniał — więc istniał" i koniec debaty. Po co się było mozolić nad wypisami z Jacquiera, z Papiasa, Justyna i t. d. — po co?! To już tylokrotnie serwowali rozmaici księża Charszewscy „et tutti quanti"!!! Po oświadczeniu, że: „*dopiero z zasadniczej nauki Kościoła, z Mszy, z całej Liturgii, ze spiżowego wiecznościowego dźwięku Zwiastowania, z radości zmartwychwzejścia — objawia się Chrystus, jaki był czczony w katakumbach, jaki dawał męczennikom tryumf nad śmiercią, zwyciężył rzymskie Imperyum, okiełzał dzikie rasy z Wędrówki Narodów i natchnął wzniosłą sztukę chrześcijańskich wieków*"; po takiem oświadczeniu, aż nazbyt wyraźnie sankcyonującem autorytet Kościoła nie potrzebny już materyał naukowy. Wystarcza katechizm. Suchość zaś katechizmu, może Miciński użyźnić własnym polotem poetyckim. Nic więcej w jego zakresie nie było do zrobienia.

Gdyby był prof. Ernst np. przedyskutował pracę A. Niemojewskiego, jako jedyny, zdaje się, fachowiec w materyi przez Niemojewskiego poruszonej — i gdyby był wykazał, że całe dowodzenie Niemojewskiego jest fałszywe, cały aparat naukowy, którym się posługuje zmyślony, lub źle pojęty — a Miciński wówczas wystąpił z „walką o Chrystusa", krótko wzmiankując, że powaga dzieła „*Bóg Jezus*" została zniesiona przez fachowca, a on, Miciński, zabiera głos obszernie w kwestyi jedynie sentymentu, obrażonego dowodzeniami naukowemi — fałszywemi w dodatku — to nikt by się temu nie dziwił, ani tego nie potępiał.

Ale tak? „Inspiracya" nie wystarcza.

Wiadomem jest, że astronomia w badaniach historycznych i chronologicznych, jest dla uczonych kardynalnym miarodajnikiem. Profesor Ernst w ten sposób się wyraził, odnośnie do broszury Morozowa, znoszącej „teologiczność" Apokalipsy i przyjętej daty jej powstania: „*gdyby istniało siedm milionów dokumentów, świadczących o wcześniejszem, niż podana przez Morozowa data, pochodzenia Apokalipsy — wszystkie one musiałyby być uznane za fałszywe*" z chwilą, kiedy dowody astronomiczne datę Morozowa by poparły. Tak jest wielkie znaczenie astronomii w badaniach.

Rzecz ma się tak samo z dziełem Niemojewskiego „*Bóg Jezus*", które się opiera na tej samej metodzie naukowej, co „*Objawienie wśród gromów i burzy*" Morozowa, zatem, broszurą niefachową, posiłkującą się choćby najwiarygodniejszymi dokumentami historycznymi, nie można ostatniej pracy Niemojewskiego osądzać. Przeciwstawianie historycznych dowodów dowodowi, opartemu na materyale astronomicznym — tembardziej przeciwstawianie luźnych, osobistych poglądów i sentymentów, jest buffonadą nie godną imienia, cenionego imienia Micińskiego. Równie dobrze, omawiając *Nietotę*, możnaby się posługiwać dajmy na to „*Medycyną pastoralną*" księdza Biskupa Pelczara...

Dlatego zdziwiło mnie zdanie *Lux'a* w artykule grudniowej „Krytyki" p. t.: „*Z religii wolnych dusz*":

— Miciński analizuje to dzieło (Niemojewskiego) poważnie, uzbroiwszy się w bogatą erudycyę.

W żadną erudycyę nie uzbroił się Miciński — w oczytanie może? lecz nie w erudycyę, a i to faszywie się oczytał literaturą zgoła nic nie mającą z pracą Niemojewskiego do czynienia (oprócz Dupuisa n. p.).

W Polsce jeden może, jak rzekłam, prof. Ernst jest kompetentny do osądzenia, względnie odsądzenia „*Boga Jezusa*", historyk pur sang tego uczynić nie może, temcibardziej literat-poeta, tej miary chociażby co Miciński.

W dodatku nie okazał Miciński nawet talentu

polemicznego. Jest niekonsekwentny przedewszystkiem i bezbronny, mimo bogatej mieszaniny barw, którą na paletę nałożył. Na jednej stronie czytamy:

— *Nawet twórczość poetycka powstaje z głębokich przeżyć. Któż więc przeżył dzieje Chrystusa, jeśli nie ktoś równy jemu?* (Ewangeliści).

A o dwie kartki dalej, powołuje się Miciński na następujące słowa Renana, jako przyczynek do swoich twierdzeń:

— *Jezus stoi pod każdym względem wyżej od uczniów swoich. Byli to z wyjątkiem św. Pawła i Jana, ludzie bez twórczości, bez geniuszu.*

Na jednej karcie bije Miciński pokłon Wolnomyślicielstwu Polskiemu, od Aryan począwszy, skończywszy na prof. Radlińskim — temu Wolnomyślicielstwu, które tak zaciekle walczy z Kościołem, z nauką i autorytetem Kościoła, ba z samym Chrześcijanizmem nawet — a na drugiej bezpośrednio, apoteozuje *„moc przekonywującą"* Kościoła, *„moc apostolską"* w jego *„misteryach"* — msze, liturgię nawet, uczącą jakiego koloru ornat ma być na jaki dzień — dochodzi nawet do tych zawikłanych, krwawych, scholastycznych określeń: vide:

— *Nawet wtedy, gdy palili Hussa (wzdrygamy się) w imię Jezusa ukrzyżowanego — ogień spełnia swe przeznaczenie: najpierw rozgrzewa i rozjaśnia, przy zbliżeniu — zlizuje ciało, rozgotowuje kości, obłąkuje myśl, rozszatania uczucia — i pogrąża w Piekło niewysłowionej męczarni.*

Co to ma znaczyć?!

Naukowo więc niczego nie udowodnił Miciński — bo, jak mówię, z nieodpowiedniego czerpał arsenału naukowego. Uczuciowo wzruszyć mógł tylko eleuzyjskich katolików Lutosławskiego, których liczba zbyt mała, aby warto było pisać dla nich książkę o 137 stronicach. Talentu polemicznego nie okazał zupełnie, bo przerzucając się w szalonych skokach od aryanizmu do eleuzyjskiego katolicyzmu, (któremu taką bolesną odprawę dał ostatnio ks. Jan Urban...), nie potrafił nam nawet *swoich własnych* przekonań religijnych zademonstrować. Jakże się wówczas brać do cudzych?! Co zaś do strony artystycznej, etycznej — broszura Micińskiego jest wysoce niesmaczna.

Wyrażenia takie w polemice jak: *„niech nam Chrysusa p. Niemojewski swą dolną sferą istnienia nie zakrywa"* — są niedopuszczalne i budzące wstręt. Dopokąd krytyka milczała o broszurze Micińskiego — milczałam i ja, gdyż lepiej kwiatków takich nie podnosić i nie „ukazywać ludowi" — ale kiedy zabrał ktoś głos o niej dzisiaj i — nawet pochwalił gest Micińskiego, musiałam zaznaczyć stanowisko moje, skromne może, lecz konsekwentnie walczące o te ideały, domagając się, aby wykluczone zostały z piśmiennictwa naszego środki, uwłaczające kulturze.

Tylko o kulturalność naszą mi chodzi. Ogół może sobie stać jaknajniżej w pojęciach kulturalności — ale niechajże „kwiat Narodu" o kulturę dba i pielęgnuje jej formy i przejawy z drobiazgową skrupulatnością, bo jakże będzie inaczej mógł wołać:

— *Jakby Mojżesz lud powiodę tam — nad morza tonie,*

. . . .

— *jako Helios wzdębię jutrzenkowe konie...?!*

MARYA JEHANNE WALEWSKA
(HR. WIELOPOLSKA).

Na pismo to otrzymaliśmy odpowiedź niepochodzącą od p. Luxa, którą zamieścimy w numerze następnym. *(Redakcya).*

SILVA RERUM.

PO OKRESIE WYMACHIWAŃ PAŁASZEM naszedł wszystkie dyplomacye europejskie pęd do serdecznych uścisków. Półurzędowe pisma propagują zgodę z dotychczasowymi rywalami, stolice rozbrzmiewają toastami na cześć nowych gości a niedawnych wrogów. W Berlinie bawił lord Haldane i misyi jego przypisują wielkie znaczenie, choć efekt wizyty psuje mowa glasgowska Churchilla, bynajmniej nie w serdecznym dla Niemiec utrzymana tonie. Za to o wiele serdeczniejszą, a dla nas niezbyt pożądaną przyjaźń zdaje się zawierać Austrya z Rosyą. Przynajmniej wnosić tak można z demonstracyjnie serdecznego przyjęcia W. Ks. Andrzeja we Wiedniu i bankietów w ambasadzie petersburskiej. Oczywiście Austrya jest o tyle „konstytucyjną", że ciała prawodawcze dowiedziałyby się o sojuszu post factum i miałyby go tylko przyjąć do wiadomości.

CHARAKTERYSTYCZNY MEMORYAŁ wydały narodowe stronnictwa kroackie do cesarza i następcy tronu. W odpowiedzi na bezprawne rozwiązanie sejmu kroackiego żądają one, aby dynastya habsburska system dualistyczny swej monarchii zamieniła na tryalistyczny t. j. utworzyła trzeci równorzędny z Austryą i Węgrami organizm, obejmujący oprócz Kroacyi i Slawonii kraje anektowane, Dalmacyę i nadbrzeżne prowincye austryackie. Widzą bowiem Kroaci w tem jedyne wyjście z gwałtów dokonywanych obecnie na nich przez rząd „madiaroński" (Madioronami nazywają na Węgrzech renegatów słowiańskich). Rząd nowego bana łamie bowiem otwarcie gwarancye konstytucyjne, konfiskuje wszystkie pisma kroackie, uwięził dwu posłów nowo wybranego sejmu i zamknął był nawet chwilowo w odpowiedzi na demonstracyę studencką uniwersytet zagrzebski.

BAJECZNA MAPA ETNOGRAFICZNA widnieje na okładce I. nr. „Ukrainische Rundschau". W patryotycznej zachłanności zagarnął autor mapy na rzecz wymarzonego państwa nietylko wszystkie kraje o znaczniejszym procencie ludności rusińskiej, ale opanywał połowę Kaukazu (aż wgłąb Dagestanu!), prawie cały Krym, gubernie saratowską i astrachańską, Odesę i Besarabię aż po Dunaj. Znaczne zdobycze poczynił on również na Węgrzech, zabierając prawie całą Słowaczyznę, Koszyce i Eperies. ale największych podbojów dokonał w Polsce. Oprócz Rusi Czerwonej zaliczył bowiem do Ukrainy spory płat Małopolski skośną linią od Nowotarszczyzny (włączonej oczywiście do Ukrainy, prawie do ujścia Sanu z częścią tarnowskiego rzeszowskiem i jarosławskiem, a nie przepuścił i Królestwu, z którego wyciął lubelskie i większą część siedleckiego, tak, że państwo ukraińskie weszło klinem między Warszawą (pozostawioną na szczęście Polakom) a Grodnem. Autor mapy jest stanowczo największym zdobywcą od czasu Napoleona. Ut desint vires tamen et laudanda voluntas.

Z RAPTULARZA.

ZJAZD DELEGATÓW UNIWERSYTETU LUDOWEGO odbył się dnia 2. lutego w Krakowie. Sprawozdanie ogólne wykazuje wzost instytucyi, która coraz bardziej dociera do środowisk najwłaściwszych t. j. do mas ludu pracującego, do wsi i ośrodków fabrycznych Nowe oddziały powstają samorzutnie. Delegaci zdają sprawę ze stanu roboty, przyczem skarżą się na trudności, z jakiemi się spotykają w pracy oświatowej. Dr. Ringelheim z Tarnowa opowiada zdarzenie na wykładzie dr. A. Wróblewskiego, kiedy klerykali wtargnęli na salę i nie dopuścili do wygłoszenia zapowiedzianego odczytu. Ciężką walkę z klerykałami stacza również oddział nowosądecki, w którym jezuici wprost prześladują za wygłoszenie np, odczytu o Darwinie, za co jeden z profesorów gimnazyalnych stracił posadę. Żywą i umiejętną działalność poza

oddziałem krakowskim rozwija oddział lwowski, który urządza wyłącznie tylko wykłady dzielnicowe w znacznej ilości, dociera tym sposobem do środowisk robotniczych i wciąga do wspólnej pracy robotników — a to w ten sposób, że przedstawiciele stowarzyszeń pomagają w robocie organizacyjnej. W dyskusyi zabierali głos pp. Radlińska, Czapliński, Szymanowska, Dr. Wróblewski, Kragen, Dr. Golińska, Dr. Drobner, Dr. Krieger. Po dyskusyi. która się wywiązała nad sprawozdaniami delegatów, Zjazd uchwalił rezolucyę następującą:

Walne Zgromadzenie Tow. Uniwersytet Ludowy im. A. Mickiewicza wzywa wszystkie oddziały do położenia nacisku na pracę w stowarzyszeniach robotniczych (urządzanie wykładów, kursów wieczornych, bibliotek) do rozszerzenia roboty oświatowej na okolice podmiejskie i wsie, do żywszego zainteresowania sprawami oświaty pozaszkolnej organizacyi nauczycielskich i do ułatwienia samokształcenia pracowników oświatowych.

Celem rozszerzenia działalności Uniw. Ludowego na wschodnią Galicyę, Walne Zgromadzenie poleciło oddziałowi lwowskiemu utworzenie związku okręgowego z siedzibą we Lwowie, dla dostarczania oddziałom wschodnio-galicyjskim prelegentów, książek i przezroczy.

Uchwalono po dyskusyi przeprowadzić drobne zmiany w statucie.

Do Zarządu Głównego weszli: Prof. dr. Grzybowski, prof. dr. Bruner, dr. Eirenberg, H. Radlińska, dr. Wróblewska, dr. B. Drobner, K. Czapiński, S. Przybyszewski, Z. Przybylski, dr. H. Kanarek, dr. S. Kot, Władysława Weychert-Szymanowska. Do Rady Nadzorczej: dr. R. Nitsch, dr. Z. Golińska, prof. dr. Wasung, Marya Paszkowska, dr. Bronisław Rydzewski. Do Sądu Rozjemczego: prof. dr. Nitsch, prof. dr. K. Dziewoński, docent dr. K. Wójcik, inż. Rapaport, Leon Misiołek.

W REICHSTAGU okazał odrazu wybór prezydyum nowy układ stronnictw. Po jednej stronie stanął blok żywiołów postępowych od Bassermanna, przywódcy nacjonalliberałów do Bebla, po drugiej pokonane żywioły czarno-błękitnego bloku. Okazało się ponadto, że obawy co do stanowiska nacyonalliberałów nie są zbyt słuszne, olbrzymia ich większość pójdzie z blokiem postępowym. Ponieważ nie przyszło w pierwszej chwili do porozumienia między lewicą, przyszło do ścisłego głosowania między Spahnem (centrum) a Beblem, który przepadł tylko 20 głosami. Przy wyborze wiceprezydentów przeszli jednak kandydaci postępowi: socyalista i nacyonalliberał, wobec czego Spahn prezesurę złożył. Koło polskie zachowało się zupełnie niekonsekwentnie. W pierwszym głosowaniu poszło z prawicą, w drugiem wstrzymało się od głosowania, w trzecim głosowało na postępowca, którego kandydatura postawioną nie była. Sojusz Koła z reakcyonistami nie przyniesie imieniowi polskiemu ani zaszczytu ani korzyści; już dziś pojawiają się na łamach „Dziennika poznańskiego“ artykuły nawołujące do „zaustryaczenia“ polityki kołowej t j popierania bezwzględnego rządu i uchwalania wszystkich „konieczności państwowych“.

DEPUTACYA NAUCZYCIELSTWA LUDOWEGO, zaniepokojonego nie wniesieniem na posiedzenie sejmowe sprawy poprawy jego płac, udała się pod przewodnictwem pp. Smulikowskiego, Soleskiego i Gierusińskiego do marszałka Badeniego z prośbą o interwencyę. Marszałek oświadczył, że sprawa ta zależy od obstrukcyi ruskiej, ponieważ załatwienie jej złączone jest z znacznem obciążeniem budżetu. W zasadzie jednak uznał zupełnie słuszność żądań nauczycielstwa. Posłowie ruscy, do których się deputacya udała oświadczyli się również za polepszeniem doli nauczycielstwa, nie dali jednak wiążącej obietnicy umożliwienia natychmiastowego załatwienia sprawy przez zawieszenie chwilowe obstrukcyi. Jest to stanowisko tem trudniejsze do zrozumienia, że prawicy nie zależy przecież na przeprowadzeniu postulatów nauczycielskich, obstrukcya więc podczas tej kwestyi niczem nie pomaga reformie wyborczej.

W CHINACH przyniósł dzień 12 lutego doniosły fakt. Dynastya widząc beznadziejność oporu, a nie chcąc ponawiać historyi Karola I. i Ludwika XVI. złożyła oficyalnie władzę i uznała republikę „kwitnącego środka“.

W PORTUGALII wybuchł strejk generalny o charakterze wręcz rewolucyjnym. Powodem właściwym strejku był zawód doznany przez proletaryat na republice. Nie tak zawiodły się na nowych rządach klasy posiadające; rząd bowiem republikański bezwzględnemi środkami stłumił ruch robotnicy, a kilka tysięcy jego uczestników uwięził w „pływających bastyliach“ t. j. pod pokładami tych samych okrętów, których granaty przed rokiem zaledwie godziły w pałac królewski.

„ŻYCIE“ wychodzi w każdą sobotę po południu.

PRENUMERATA WYNOSI:

	rocznie	półrocz.	kwart.
w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier . . .	20 kor.	10 kor.	5 kor.
Dla członków Polskiego Stronnictwa Postępowego	12 kor.	6 kor.	3 kor.
w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec	18 mk.	9 mk.	4·50 mk.
w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa. . . .	12 rb.	6 rb.	3 rb.
w innych miejscowościach Europy	24 fr.	12 fr.	6 fr.
w Ameryce.	6 dol.	3 dol.	1·50 dol.

Cena pojedynczego numeru 40 hal.

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy, lub jego miejsce 40 hal. Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada. Adres Redakcyi i Administracyi: ul. Sienkiewicza 9.

REDAKTOR PRZYJMUJE CODZIENNIE, Z WYJĄTKIEM ŚWIĄT i NIEDZIEL, OD GODZINY 6. DO 7. WIECZOREM

Wydawca: HIPOLIT ŚLIWIŃSKI.

Redaktor odpowiedzialny: ALEKSANDER NAWROCKI.
Kierownik pisma: STEFAN GACKI.

ODBITO W DRUKARNI „PRASY". LWÓW, ULICA SOKOŁA L. 4. KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA".